



Foto: A.Mason

Dorota Pacyńska "Znasz bajkę o smokach?"

Cintryjka



Zaznaczam od razu, że problem, o którym traktuje ten tekst, dotyczy niewielkiego procenta wydawnictw, jednak ostatnio dziwnym trafem coraz bardziej rzuca mi się w oczy. Ale do rzeczy.

W czasach, kiedy zawiadywałam działem recenzji Fahrenheita i zdarzyło się, że jakiś wydawca przesyłał informację o książce „z importu”, nie uwzględniając w jej treści nazwiska tłumacza, odpowiadałam pytaniem: „Czy książka jest tak genialna, że przetłumaczyła się sama?” Działo się. Czasami krótko, czasami trwale, ale działało. Nie świadczy to bynajmniej o wielkiej sile rażenia Fahrenheita, tym niemniej wydawca dostawał jasny sygnał, że nie wolno informować o przekładzie bez informowania o tym, kto jest jego autorem. Bo nie wolno. Tako rzecz prawo. I wydawca to w swoich działaniach uwzględniał.

Tak się złożyło, że - na skutek okoliczności przeze mnie niezawinionych - zostałam Szefową i - prawem wszystkich szefowych i szefów świata - wypatrzyłam perspektywiczną ofiarę, by zwalić na jej barki temat recenzji, informacji o książkach, kontaktów z wydawcami itp., pozbywając się tym samym kwestii tłumaczy i ich autorskich praw osobistych z pola widzenia. Jednak temat, jak każdy podrzutek, chciał do mamusi, nie dawał o sobie zapomnieć: gaworzył, chodził za mną krok w krok, czepiał się mojej spódnicy, łaski prosił. No, nie jestem wszak z kamienia, nie będę sierotki na upał wyrzucać. Złamałam się i chcąc nie chcąc, do tematu wracam.

Ale najpierw bajeczka (dla porządku zaznaczę, że smok jest czysto symboliczny, pasował mi do fabuły i tyle. Nie należy się więc doszukiwać podobieństw w nazwach i logotypach oficyn, bo ich nie ma.).

Za siedmioma rzekami, za siedmioma górami, za siedmioma morzami, za siedmioma dolinami żył sobie smok. Młody, nieoskrzydłony jeszcze porządnie, ot, polatucha taka. Świata wielkiego jeszcze z lotu smoka nie widział, wioskę najbliższą tylko znając, za ojczyznę swą i świat cały ją uważał. A wioska to nie była jaka była, sporo w niej bazarzy przednich domy swe miało i opowieści cudne w tych domach tworzyło. A nasz smok, wiedzieć wam trzeba, dziewice źle trawił, na księżniczki miał alergię, a na kamienie szlachetne patrzeć się wzdragał, za to bajędy różne czytać mógł na okrągło.

Zauważył jednak smok, że bazarze opowieści swe przędą w gronie rodzinnym, za ściany domostw swych baśni nie wynosząc. Jakże to, zdumiał się smok, toż tych cudowności nikt, ni brat, ni swat, ni sąsiad najbliższy poznać nie mogą? To nie jest dobre, stwierdził i założył wydawnictwo. Jakże cieszyli się bazarze, że mogą swoimi bajaniami sąsiadów radować, jakże cieszyli się sąsiedzi, bajania owe czytając.

Czas płynął, smok rósł, aż skrzydła jego stały się tak krzepkie, że mógł coraz wyżej się wznosić i coraz dalej latać. I kiedy tak latał, odkrył, że oprócz jego wsi - czystej, ojczystej - są inne, mniejsze i większe, ładne i brzydkie, a w każdej też żyją bajarze, którzy opowieści cudne tworzą. Ucieszył się smok, w myślach już radość swych krajanów widząc, że całkiem inne opowieści poznać będą mogli. Umówił się więc smok z obcymi bajarzami, że ich bajędy wydawać w swojej wiosce będzie. Kiedy jednak rękopisy otrzymał i ludziom w wiosce pokazał, zdziwił się straszliwie. Opowieści napisane były bowiem w niezrozumiałym w jego wsi języku! (smok, rzecz jasna, jako telepata, pojęcia bariery językowej nie znał). Jakże to tak?, zafrasował się gad okrutnie, czyż te wszystkie cudowności ze stron dalekich w jego wiosce nieznane pozostać mają?

Martwił się straszliwie, aż tu patrzy dnia pewnego, a na środku wsi obcy człek się pojawił i towarami różnymi handluje, i choć z wioski odległej przybył, mowę miejscowych pojmuje. Dziwił się smok, dziwił, ale że smokiem był rozumny i czytany, i bajkę o pewnym miłośniku kąpieli znał, zakrzyknął gromko: „Eureka!” i zatrudnił handlarza na stanowisku tłumacza, wprowadzając tym samym do świadomości miejscowej pojęcie „przekwalifikowania”. Radości w wiosce nie było końca, tym bardziej że, jak się okazało, tłumacz miał kolegów, na szlaku poznanych, którzy również językami władali, i sprowadził ich do wsi, by bajędy ze stron dalekich tłumaczyli.

Błogi spokój smoka nie trwał długo. Otóż dnia pewnego przyśniła mu się Wróżka Księgużka, która chętnie książki przez smoka wydane czytała, a nawet czasem w ich wydaniu pomagała, i rzekła: „Smoku, wszystko mi się podoba, ale chyba o czymś zapomniałeś. Piękne są książki twoje, piękna strona twoja z trzech magicznych wu poczęta, jednak brakuje tam ważnej wieści. Wszak nie tylko bajarz opowieść snuje, nie tylko smok ją wydaje. Pomyśl o tym”.

Rzekła i znikła. A smok zaczął myśleć, ogonem podłogę wiórkować, na pazurach liczyć: jeden to bajarz, dwa to tłu... A! Tłumacz! Zapomniałem o tłumaczu! Oj, zasromił się smok i dawaj, stronę z trzech magicznych wu poczęta poprawiać, żeby przy każdej książce z odległych wsi pochodzącej nie tylko nazwisko bajarza było, nie tylko logo wydawnictwa Smok i Wiocha wzrok radowało, ale też nazwisko tłumacza jak brylant ze smoczego skarbcza się skrzyło.

Radość we wsi zapanowała wielka - cieszył się smok, że błąd swój naprawił, cieszyli się tłumacze, że ich trud smok docenił, cieszyli się mieszkańcy wioski, bo już wiedzę posiedli, że tłumacze różni bywają: jedni jakbyś słodki kołacz smakował, drudzy jakbyś chleb nasz powszedni jadł, a jeszcze innych, nie daj Boże, kuchni popróbować.

I żyli...

...hm, jak to mówi porzekadło, nic, co dobre, nie trwa wiecznie: nie żyli długo i szczęśliwie, książkę nie oddał, tylko schował, i nie pantofelek, tylko dokument tożsamości, i powiódł nie do ołtarza, tylko porzucił na środku A1, a do wioski wkroczyła wydawnicza proza życia, czyli wspomniany wcześniej podrzutek.

Mimo zwalenia pewnych obowiązków na perspektywiczne barki obserwowałam treść informacji przesyłanych przez wydawców. Cóż, ich jakość, eufemistycznie mówiąc, była różna. Jednak w którymś momencie uwagę mą zwróciło jedno z wydawnictw, z którym nie pierwszy rok współpracowaliśmy wcale owocnie. Ze zdziwieniem zauważyłam bowiem, że w zapowiedziach i nowościach (dotyczących przekładów), nadsyłanych do redakcji, przestały pojawiać się nazwiska

tłumaczy. Kilka razy zadałam pytanie o autora przekładu, owszem, odpowiedź zadowolającą dostałam, ale widać sugestie Fahrenheita nie miały już poprzedniej siły rażenia, bo wydawca konsekwentnie, w kolejnych materiałach, takich informacji i tak nie podawał. Zajrzałam więc na stronę tegoż wydawnictwa - strona, nadmienię, nowa, spełniająca wymogi wszelakie, z fajerwerkami i wodotryskami z czekolady - bo przecież, gdzie jak gdzie, ale na stronie potrzebną informację na pewno znajdę. Zawsze tam była. Czy muszę dodawać, że nie znalazłam?

A tak, nie znalazłam. Nie znalazłam nazwisk tłumaczy nie tylko przy tytułach nowych, nie było ich również tam, gdzie do tej pory widniały. No dobrze, nie mój cyrk, nie moje małpy, pomyślałam sobie, niestety, podrzutek czuwał, ucałił chudymi rączynami spódnice i zapisał, a pisał okrutnie. Wielu środkom nacisku bezpośredniego mogę się oprzeć, ale wobec przemocy akustycznej nie ustoję, musiałam więc działać. Ponieważ opcja korespondencji z wydawcą wydała mi się jakoś mało perspektywiczna, radośnie doniosłam jednej ze współpracujących z tą oficyną tłumaczek, że jej nazwisko nie figuruje już w materiałach dotyczących książek, których przekładów (świetnie, zresztą) dokonała.

Tu mała dygresja, dla nieorientowanych i (jak to dygresja) nieporuszająca bynajmniej istoty sprawy: Nie ma cię na stronie => nie ma cię w google = nie istniejesz. No, takie życie. Koniec dygresji, wracamy do naszej historii.

Wzmiankowana tłumaczka zajrzała na stronę wydawcy i stwierdziła, że faktycznie stała się osobą nieistniejąca, a więc mityczną, co lekko nią wstrząsnęło, bo do tej pory uważała, że jest, i postanowiła zareagować. Napisała więc do działu, który z natury swej zajmuje się treściami pojawiającymi się na stronie. W mailu tym wyraziła zdziwienie i niepokój z powodu usunięcia z opisów książek nazwisk tłumaczy i, co zrozumiiałe, zażądała wyjaśnień. Wyjaśnienia, a jakże, otrzymała, dowiedziała się, że - z jakiegoś tajemnego powodu - na stronie nie działa opcja dodawania tłumacza, pomimo zaznaczania jej w panelu administracyjnym. Że to "wyszło" dopiero po jej pytaniach (sic!) i że wydawca widzi dwa rozwiązania problemu: 1. Dopisać przy każdej książce na stronie informacje o tłumaczu, 2. Nazwiska tłumaczy dodawać w nowych materiałach, stare pozostawiając bez uzupełnienia. Jak łatwo się domyślić, wydawca preferował opcję drugą.

Pora na kolejną dygresję. Absolutnie nie twierdzę, że coś w mechanizmie strony nie mogło szwankować, wszyscy wiemy, że mogło, a jakże, byłabym nawet skłonna upierać się, że usterka była nie do usunięcia, bo i tak być mogło, gdyby nie fakt, że - jak wcześniej wspomniałam - strona była całkiem nowa, a co za tym idzie, jej twórca miał obowiązek usterkę w ramach gwarancji usunąć. Ba! Mogę, w ramach dobrej woli, założyć, że (na przykład z powodu braku płynności finansowej wydawnictwa, co w tej branży jest niewykluczone) wydawca nie mógł się realizacji świadczenia gwarancyjnego za bardzo domagać. Tak czy inaczej, wydawca rozwiązanie problemu zaproponował. Tłumaczka, jak łatwo się domyślić, stanowczo opowiedziała się za opcją numer jeden, informując, iż zdaje sobie sprawę, że - jako bardziej pracochłonna - ta opcja nie wzbudzi zachwyty, ale dla niej (tłumaczki) szalenie ważny jest dorobek, a nie rzeczy, które być może kiedyś dla wydawnictwa przetłumaczy. Na koniec podkreśliła, że zwyczajnie domaga się, by te informacje zostały uzupełnione na stronie.

Przeczytał smok epistołę od tłumaczki i ze zgryzoty za łeb się chwycił, i wstyd wielki czując, zakrzyknął: "Och! Jakem mógł nie doglądać mojej pięknej strony z trzech magicznych wu poczętej? Przyjdzie mi iść, Wisłę wypić, bo z tej sromoty nie żyć mi dłużej!". Lecz nie bez powodu instynkt samozachowawczy smoków legendą już obrósł, nijak więc smok na krok ostateczny zdobyć się nie mógł. Wiedział jednak, że hańbę swą zmazać musi, jeśli nie krwią, to znojem uczciwym, siadł zatem i, dawaj, stronę z trzech magicznych wu poczętą uzupełniać. Nie spał, nie jadł, ogniem nie ział, póki dzieła nie

dokończył. Radość...

Radość radością, bajeczka bajeczką, a my lepiej wróćmy do naszych baranów, pogodne historyjki dzieciom zostawiając. Wydawca zaproponował tłumaczce rozwiązanie całej tej kłopotliwej, wydawać by się mogło dla obu stron, sytuacji. Wspomniana przez mnie wymiana maili odbyła się ponad półtora roku temu. Czy muszę dodawać, że żadne informacje nie zostały na stronie uzupełnione? I nie są również podawane w bieżącym mailingu?

Można oczywiście współczuć wydawcy, że w pakiecie z nową wypasioną stroną www otrzymał nienaprawialną usterkę, ale ja tego nie kupuję. Wydawca ma to po prostu tam, gdzie to ma i tyle. Usterka to zwykła ściema, trzeba było jakoś pozbyć się tłumaczki, zawracającej głowę duperelami, które nikogo nie obchodzą. Gdyby wydawca chciał, już dawno i to bez większego nakładu pracy wiadome informacje by uzupełnił, o podawaniu na bieżąco nazwisk autorów przekładów nie wspominając. Zamiast tego opowiedział tłumaczce starą, ale jak widać jarą, bajkę o smokach.

Pora na morał.

Żeby ten tekst nabrał pewnej wzniosłości i głębi zarazem, powinnam wystąpić teraz z płomiennym apelem do wydawców, którzy: wzruszeni, zalani łzami i skruszeni - na piasek rzuciliby się naprawiać swe błędy. Nie wierzę w skuteczność płomiennych apeli, nie interesuje mnie również nawracanie błądzących wydawców. Ot, obserwuję zjawisko, które mi się nie podoba, a właściwie, co tu ściemniać, żadne tam zjawisko, zwykłe, najzwyklejsze, wynikające albo z ignorancji, albo z braku wyobraźni, albo z arogancji, albo ze wszystkiego na raz łamanie obowiązującego na terenie Rzeczypospolitej Polskiej prawa autorskiego. Całkiem bezkarne. No, chyba że jakiś tłumacz lub grupa tłumaczy postanowi dochodzić autorskich praw osobistych za pośrednictwem sądu, co na pewno ucieszyłoby mojego podrzutka. Nie zapominając przy tym o domaganiu się stosownej rekompensaty. Ale to już ani mój problem, ani ta bajka.

Dorota Pacyńska